

Wielki pożar w Ostrowi, niełatwy żywot nadbużańskiego lekarza,
minister ucapiiony w Pęczratce, częściowo podziemna szkoła w Lubotyniu,
Bronisław Pyśk z Nowej Osuchowej omal nie uśmiercił niemieckiego dyplomaty

Wstępem, przypisami i ilustracjami opatrzył Jerzy Madzelan.

Ilustracja wyróżniająca opracowanie:

Przed kościołem w Długosiodle w niedzielę 16 sierpnia 1925 r.

Widoczny po lewej stronie budynek z szyldem to piwiarnia.

Fotografia wykonana przez Altera Kacyzne (1885-1941)¹.

Ostrowskie stodoły wyprowadzono starodawnym zwyczajem poza obszar właściwego miasta, co się wielce chwali. Niestety, stodoły stały w dwóch rzędach, w każdym zaś stykały się słomianymi dachami, tworząc tym samym gigantyczny stos i zwiastując nieszczęście.

Ponownie witamy na naszych łamach dr. Adama Jarosińskiego, ordynatora sterdyńskiego szpitala. Tym razem publikujemy treść odczytu, który wygłosił w sierpniu 1908 r., a tyczył warunków praktykowania i bytowania prowincjonalnego lekarza. Dowiadujemy się wielu rzeczy interesujących, a nawet zaskakujących, jak choćby o rujnującej konkurencji ze strony przeróżnych małomiasteczkowych i wiejskich szarlatanów, czy mało imponującej przeciętnej długości życia prowincjonalnego lekarza. Wszyscy bowiem koledzy po fachu doktora, którzy na przełomie XIX i XX w. praktykowali w regionie i zeszli z tego świata, padli ofiarą chorób zakaźnych, przede wszystkim tyfusu.

Znana już nam para cyklistów kontynuuje poszukiwania mającego objawić się w okolicy ministra. Godziny pedałowania nie poszły na marne, ekscelencję ujrzano w Pęczratce.

W całej gminie Lubotyń jest tylko jeden budynek szkolny, choć ta budowla na miano to raczej nie zasługuje, gdyż jest to „stara buda, której połowa jest w ziemi”.

Bronisław Pyśk z wioski Nowa Osuchowa stracił panowanie nad jednostką napędową swego pojazdu, skutkiem czego wylądował w rowie samochód, którym podróżował niemiecki ambasador w Warszawie Hans Adolf von Moltke.

Napisał do nas pan Marian, który po długiej absencji powrócił do pracy, ale wciąż podlega rehabilitacji. Powodem absencji i rehabilitacji są wakacje, na których nasz czytelnik nabawił się dolegliwości pod postacią połamania kończyn. Nie przeklina jednak losu, PTTK, ZUS-u, KRUS-u itp., gdyż przyznaje, że stało się to, co stać się w końcu musiało, gdyż podobnie jak nieprzebrane tłumy rodaków rzucał corocznie wyzwanie swemu Aniołowi Stróżowi.

Tygodnie, które spędził z nogami na szpitalnym wyciągu, pozwoliły zatrzymać się panu Marianowi na chwilę, dając mu czas do przemyśleń, które przelał na klawiaturę, a następnie wysłał pod naszym adresem. Doszedł do wniosku, że ludzkie postępowanie na wakacjach wykazuje, iż prawie w każdym z nas drzemie gen samobójczy. Gen ten wybudza się na dźwięk słów „urlop” i „wakacje”, skłaniając nosiciela, aby wszelkimi siłami dożył do samozagłady.

¹ *Yizkor to Jewish Długosiodlo Poland (3rd edition) by Meir Halevi Gover*, online third edition, 2019, fig. 07, p. 13.

Gdzieś w podświadomości uruchamia się pragnienie powrotu do domu w ambulansie, w przypadkach zaś ekstremalnych w trumnie, gdy zaś o kraje dalekie chodzi, to raczej w formie oszczędnościowej – znaczy się w urnie.

Pozostaje dokonanie wyboru metody, przy pomocy której pragniemy wyrządzić sobie krzywdę. Porzućmy takie aktywności jak bieganie czy kąpiel w basenie, bo istnieje mała szansa, że dzięki nim spełnimy swoje marzenia. Choć, nie do końca, bo jeśli na co dzień wykonujemy pracę siedzącą, a w lecie pomyślimy sobie ni z tego, ni z owego, że fajnie byłoby zrobić sobie kilkudziesięciokilometrową rowerową przejażdżkę w morderczym upale, to możemy odnieść sukces i skończyć w szpitalu lub kostnicy. Podobnie ma się rzecz z odbywanymi w skwarne dni długimi przechadzkami po górach, a w dni deszczowe, gdy szlaki są śliskie, to nawet i krótki spacer może nas zaprowadzić do upragnionego celu.

W wymienionych wypadkach prawdopodobieństwo spełnienia się naszych planów nie jest jednak nazbyt wysokie i są to raczej wersje przeznaczone dla mało ambitnych „mięksiszonów”. Twardziele powinni wybrać np.: paralotniarstwo, nurkowanie czy skoki bungee. Oczywiście i tutaj do sprawy nie można podejść bez namysłu: paralołtnię najlepiej wypożyczyć u samodzielnego konstruktora, który nie wiedział, co zrobić z agonalnie prychającą kosiarką; jeśli zaczynamy przygodę z nurkowaniem, to róbmy to bez atestowanego sprzętu; jeżeli jesteśmy gdzieś na egzotycznych wakacjach i widzimy, iż na moście egzystuje kilku oferentów skoków bungee, to wybierzmy nieco zawianego, „wczorajszego” gościa, który nie daje gwarancji, że wszystko idealnie powiązał.

Oczywiście, wielu jest takich, którzy żyją na co dzień niczym szare myszki i nie doceniają drzemiącej w nich odwagi. Wystarczy jednak spędzić dzień, góra dwa na Mazurach, aby przekonać się, że prawie każdy ma w sobie coś z herosa. Ten, który się odżegnywał, że nigdy nie skoczy na spadochronie, nagle, po iluś tam kuflach ogłasza światu: „Cooooo ja tego nie zrobię? Nie takie rzeczy robiłem ze szwagrem!”.

Niestety, kierując się jakimiś absurdalnymi przepisami, kierująca skokami spadochronowymi wredna osoba, może gościowi wykazującemu symptomy spożycia stanąć na drodze do spełnienia marzeń. Dla chcącego nie ma jednak nic trudnego! Czemu nie spróbować nart wodnych? Zresztą rozbijanie zwykłego kajaka, a następnie wywrotka także może dostarczyć niezapomnianych wrażeń. A ileż radości, gdy dokonuje się tego z rodziną? Większości z nas nie uda się – przynajmniej za pierwszym razem – doprowadzić swych zamiarów do końca. Pozostaje zatem cieszyć się byle czym. Powróćmy z wakacji przynajmniej z garścią piasku w gatkach, co także nie jest nazbyt przyjemne, a zatem stanowi namiastkę przeżyć ekstremalnych.

Zima daje kolejną szansę na przeżycie czegoś nadzwyczajnego, ale że np. narty śniegowe, to odmiana nart wodnych (lub odwrotnie), to rozwinięcie kwestii metod wyrządzenia sobie krzywdy porą zimową, byłoby w zasadzie powtórzeniem tego, co napisano wyżej. Pewna specyfika charakteryzuje jazdę na łyżwach, ale szkoda poświęcać choćby odrobinę czasu, czemuś, co polega na nonsensownym jeżdżeniu w kółko po lodowisku. Odmiennego podejścia wymaga natomiast kwestia nagrody pocieszenia w postaci piasku w gatkach. Z tym bowiem w zimie jest kłopot, bo trudno, abyśmy w samej bieliźnie tarzali się po jezdnich i trotuarach, które w celach antypoślizgowych wysypano piaskiem. Pan Marian uważa, że ersatzem dla piasku mogą być tzw. kąpiele morsów. Dawniej urządzano je w przeręblach, ale obecnie, ze względu na z rzadka zamarzające zbiorniki i ciekły wodne, miejscem tych kąpiele są raczej wody otwarte, choć z natury chłodne. Organizatorzy uważają, że nie ma nic lepszego dla zdrowia i

ogólnego wzmocnienia ponad takie kąpiele, a warto kultywować tradycję, sięgającą jeszcze starożytnych Słowian. Pan Marian sądzi, że wielkiego sensu to nie ma, gdyż ma w domu prysznic, wannę oraz kurki z wodą o regulowanej temperaturze, więc nie widzi powodu, aby wzorem naszych praprzodków pływać się w lodowatych zbiornikach. Raz jednak dał się namówić na tego rodzaju przygodę. Przyjemność z niej płynącą porównał właśnie do garści piasku w gatkach.

Czynnikiem sprzyjającym ostatniego lata, oddaniu się pana Mariana, większej niż zazwyczaj dozie szaleństwa, mógł być fakt, że wszedł w wiek określany mianem średniego. Mężczyźni w tym wieku budzą się nagle ze snu z postanowieniem: „Zrobię kurs szybowcowy lub kupię sobie Harley-Davidsona”. Tak właśnie musiało być po części i w jego przypadku. Uważa jednakowoż, że i tak miał szczęście, gdyż wielu z jego rówieśników budzi się z pomysłem: „Znajdę sobie dwie kochanki”. On od czasu do czasu będzie trochę kuśtykał i sygnalizował jękiem każdą zmianę pogody. Goście zaś, o których mówi się w jego firmie, że „odkryli w spodniach kompas życiowy”, kończą zazwyczaj bez rodziny, bez domu, a czasami i bez grosza przy duszy. W sumie jest więc pan Marian zadowolony i uważa, że został potraktowany przez los dosyć litościwie.



Brok latem roku 1931.

Autorem fotografii jest Józef Levinski, który tamtego lata przyjechał z Bostonu do rodziny w Broku².

² Tamże, fig. 176, p. 328.

[„Gazeta Świąteczna”, nr 50 (154) z trzeciej niedzieli grudnia 1883 r.]

Pogorzeln w mieście Ostrowiu, guberni łomżyńskiej, ciężko dotknęła wielu mieszczan tamtejszych. Według starodawnego zwyczaju stodoły stały tam w dwa rzędy, jedne obok drugich i stykały się z sobą w każdym z osobna rzędzie dachami. Przedział między rzędami miał kilka kroków zaledwie. W dniu 1-szym grudnia w jednej z tych stodół wybuchnął ogień ze środka. Ostrów ma własną straż ogniową, która się składa ze 120 ludzi i posiada narzędzia ratunkowe, nim jednak straż się zebrała, a przyciągnęła sikawki i beczki z wodą (koni tam do tego nie mają) już ta jedna stodoła była ogarnięta płomieniem, a po dachach słomianych ogień rozszerzał się na inne budynki. Ocalić co bądź w tym rzędzie nie było sposobu, to też od końca, aż do końca wszystkie stodoły spłonęły. Przecięto tylko przejście szalejących płomieni na drugi rząd przez rozebranie stodoły, która oba rzędy łączyła. Straty mieszczan są bardzo znaczne, bo się spalił cały tegoroczny sprzęt zboża, a stodół dwadzieścia dwie.

Przyczyna ognia nie jest wiadoma dotąd. Powstał pewnie od lampki naftowej albo od papierosa. Pod jednym dachem z pierwszą stodołą była i stajnia. Dla bezpieczeństwa przed kradzieżą koni zamykano na noc wrota stajenne zewnątrz i wewnątrz, a były one jeszcze wybite blachą żelazną. Przy koniach nocował zwykle parobek, tego zaś wieczoru zamknął go w stajni brat młodszy i zaraz odszedł gdzieś z kluczem. W chwili wybuchu ognia na próżno szukano go, wrót zaś niepodobna było ani otworzyć, ani wyłamać, to też zamknięty w środku parobek i trzy konie gospodarskie spaliły się także.

Z listu w tym wypadku dowiadujemy się jeszcze, że w stodołach spalonych, nie tylko mieścił się sprzęt zboża, ale i wszelkie porządki gospodarcze, w dołach zaś były zachowane na zimę kartofle. Z porządków coś tam uratowano, zaraz jednak znaleźli się tacy, co rzeczy drobniejsze kradli, korzystając z popłochu. Kartofle zaś spaliły się wszystkie. Takie to nieszczęście spadło na ostrowian. Lecz smutniejsza jeszcze rzecz od samej pogorzeli, to są owe kradzieże podczas ognia. Ciężko pomyśleć, że ciemne prostactwo nasze po wsiach i mniejszych miasteczkach, to taka dzicz jeszcze, że nawet z nieszczęścia bliskich korzysta! Nie pojmujemy także, jak może zbraknąć koni dla straży ogniowej w mieście, gdzie jest tylu rolników. Straż dla ratunku wszystkich potrzebna, czyżby zatem nie można było i nie należało zawczasu zaprowadzić taki porządek, żeby pod sikawki i pod beczki z wodą, mieszkańcy dostarczali koni podczas pożaru? Jest to dla pośpiechu konieczne potrzebne i dziwi nas bardzo, że w mieście powiatowym nie zaprowadzono tego dotąd.



Hełm strażacki typu rzymskiego noszony przez druha Wacława Kaliszka, Inspektora Straży Pożarnych RP Okręgu Sosnowieckiego w okresie międzywojennym. Źródło: 1001pocztowek.pl.

Stanowisko i byt lekarza prowincjonalnego u nas.

Przez d-ra A. Jarosińskiego.

Rzecz czytana na posiedzeniu Tow. Lek. Siedleckiego d. 7.VIII.1908 r.

Szanowni Panowie!

Znakomity lekarz i prof. berneńskiego uniwersytetu Sahli często powtarza swoim uczniom, że ideałem lekarza jest lekarz wiejski. Prof. Sahli zachęca przeto adeptów medycyny do osiedlania się po wsiach i osadach, twierdzi bowiem, że dobrze pod względem lekarskim przygotowany lekarz, gdy jest jednocześnie dobrym i inteligentnym człowiekiem, może stać się opiekuńczym aniołem ludności, szerzycielem kultury i postępu.

W naszym kraju, w którym jest 68% analfabetów, bardziej niż w Szwajcarii pożądanym jest, by wśród ludności wiejskiej osiedlały się jednostki inteligentne, które przez swój stały kontakt z ludem mogłyby wpływać na usuwanie przesądów i szerzenie postępu.

W naszym więc kraju, w którym jeszcze panuje pojęcie o kołtunie, w którym rany opatruje się brudną pajęczyną, w którym kąpiel i mydło używane są rzadko, a w chorobie uważane są za rzecz zbyteczną, a nawet szkodliwą, w kraju, w którym szerzenie się chorób epidemicznych uważane jest za dopust Boży, jak kara za grzechy... w kraju takim lekarz wiejski ma szerokie pole do działania. I istotnie, jest to pole szerokie, powiem, wśród bowiem inteligentnych jednostek na prowincji, bodaj, że lekarz częściej, niż kto inny, ma w sobie iskrę Bożą, owo poczucie dodatniego oddziaływania na ogół ciemnej ludności.

Obejrzymy się naokoło siebie. Ksiądz mający styczność z ludem i możność oddziaływania nań, zwykle głosi z ambony i udziela stereotypowych napomnień w konfesjonale: nie kradnij, nie podpalaj, nie popełniaj grzechów głównych, módl się, pracuj, pość, bądź ofiarnym na rzecz kościoła i sług jego.

Obywatel ziemski i oficjalista dworski twierdził zwykle dotychczas, że higiena i oświata dla parobka nie są potrzebne, potrzebną zaś jest tylko siła mięśni. Nauczyciel wiejski, w naszych przynajmniej siedleckich stosunkach jako jednostka obca, niewychodząca z łona społeczeństwa, zachowuje się obojętnie, albo dąży do z góry nakreślonego celu – nauczania polskiego dziecka po rosyjsku. Aptekarz w małym miasteczku chętnie sprzedaje choremu lekarstwo od „macicy”³, „kołtuna”⁴ lub „poruszenia”, bez zarumienienia się, zawija „olejek miętusowy” lub „skrom zajęczy” i śmieje się w duszy z naiwnego wieśniaka, któremu sprzedał zwykły zabarwiony tłuszcz. A urzędnicy wszelkich biur? O oddziaływaniu tych panów na ogół ludności wieśniaczej lepiej nie wspominać.

³ W naszym regionie (ale nie tylko tutaj) wierzono, że bóle brzucha wywołuje mieszkająca tam istota zwana „macicą”, szczególnie dokuczliwa, gdy rozeźli się na swego nosiciela. To ona miała być źródłem dochodzących z trzewi odgłosów. Podług wyobrażeń ludu, macica to wielki i paskudny robał o niezliczonej liczbie odnóży i szponów. W uspokojeniu tej kreatury miało pomagać spożycie wątroby miętusa, jako że ta wielce przypomina kształtem macicę. Wątrobę można było zastąpić przyrządzonym z niej wywarem w formie cenionego oleju miętusowego [przyp. aut. opracowania].

⁴ Więcej o macicy i kołtunie, oraz środkach zaradczych [tutaj](#) [przyp. aut. opracowania].

A ileż na wsi jest tych potęg ciemnych, jak pseudofelczerzy, pseudoakuszerki, baby, znachorzy, zamawiacze – potęg, które podtrzymują przesady i zabobony, i których wpływ na lud nasz jest jeszcze olbrzymi.

W naszych więc warunkach lekarz osiadły na małej prowincji, jest jedyną zazwyczaj jednostką, która przestrzega zasad higieny, jednym apostołem, który głosi, że w zdrowym ciele zdrowy duch się mieści.

Nie widząc skutecznych zarządzeń rządu w sprawie szerzenia higieny i racjonalnego leczenia, widząc obojętność do tej sprawy sfer inteligentnych, odczuwając na każdym kroku demoralizujący wpływ pseudofelczerów, bab i znachorów, lekarz osiadły na wsi bierze się z zapałem do pracy nad poprawą stosunków w swojej okolicy. Praca to jednak żmudna i mozolna, postęp idzie żółwim krokiem.

Całymi latami, po kilka razy na dzień lekarz powtarza chorym: myj się, czysto się ubieraj, mieszkanie przewietrzaj, wódki nie pij, rany obmyj – co dzień jednak wciąż widzi chorych niemiłosiernie brudnych, co dzień zmuszony jest oczyszczać rany z zakurzonej pajęczyny, co dzień musi odbywać z chorymi konferencje na temat kołtuna, macicy i zruszenia... Całe lata mijają, a wpływu dopatrzeć się trudno.

W tych warunkach nie każdy lekarz ma tyle siły, by wytrwać na stanowisku i być krzewicielem higieny: jeden ucieka do miasta jako do ogniska większej kultury; drugi staje się obojętnym dla świętej sprawy; trzeci z zaciśniętymi zębami szoruje brudne, obranione ciało chorego, a inny przystosowuje się do otoczenia i bierze na siebie rolę „cudownego” lekarza i zaleca chorym spożywanie rosołu z czarnej kury, picie lekarstwa przed wschodem lub po zachodzie słońca.

Praca lekarza prowincjonalnego u nas, o ile tej pracy nie przyświeca idea fizycznego i umysłowego odrodzenia ludu naszego, jest mało zachęcającą i nic dziwnego, że nasi lekarze stronią od osiedlania się na wsi, tym bardziej, gdy z tym związana jest sprawa czysto materialnej natury. Lekarze prowincjonalni, pracując przeważnie pośród ludności wieśniaczej i ubogiej żydowskiej, zarabiają stosunkowo niewiele. Chorych na prowincji mamy dużo, nie mniej niż po miastach. Da się to w przybliżeniu obliczyć. Przyjmując ilość mieszkańców naszej guberni na 1.000.000 i 2,6% śmiertelności, mamy rocznie zmarłych 26.000*. Według objaśnień Pettenkofer`a na każdego zmarłego przypada 30 chorych, na naszą gubernię przeto wypada 780.000 chorych rocznie.

Iluż tu lekarzy i szpitali potrzeba, by obsłużyć taką masę chorych!

Zachodzi tu jednak paradoksalne zjawisko: chorych moc wielka (na jednego lekarza do 20.000), lekarzy niewielu, a i ci często narzekają na brak pracy i małe zarobki. Dzieje się to, wskutek tego, że ubogi wiejski tłum nie leczy się wcale i oczekuje zmiłowania Bożego lub zasięga rad u bab i pseudofelczerów, których namnożyło się po wioskach bez liku. Bogaci pacjenci wyjeżdżają do badów [uzdrowisk] i leczą się u specjalistów w dużych miastach. Bogate damy dla odbycia normalnych nawet porodów, coraz częściej udają się do domów zdrowia.

W tych warunkach zarobienie rocznie 3000 rubli, dla wielu lekarzy jest niedoścignioną mrzonką. A ta suma jest zaledwie wystarczająca, gdy weźmiemy pod uwagę utrzymanie rodziny, kształcenie dzieci, zakupywanie książek i miesięczny co lat parę wypoczynek. O robieniu oszczędności nie może być mowy. A zresztą lekarz przeciętny niewiele ma czasu na zbieranie oszczędności, gdyż zazwyczaj mija lat kilka od opuszczenia uniwersytetu, zanim

lekarz się ustali, pospłaca długi studenckie, gdy zaś dojdzie do maksimum swojej praktyki 2500 rubli – to już nachodzi rok 46-ty – to jest przeciętny wiek lekarza i śmierć czyni kres wszelkim zabiegom.

Musimy się pogodzić z myślą, że lekarze na prowincji żyją krótko i zwykle kończą tyfusem. W mojej okolicy, w ciągu lat 15-tu w pięciomilowym⁵ promieniu zmarło 10-iu lekarzy. Wszyscy zmarli na choroby zakaźne, mianowicie 6-iu na tyfus, 2-ch na zapalenie płuc włóknikowe, jeden na prosówkową gruźlicę i jeden na wodowstręt. Dwóch tylko przekroczyło 60-tkę, reszta byli to ludzie młodzi w wieku od 25-iu do 48-iu lat**.

My tu dziś zebrani powinniśmy mieć świeżo w pamięci groby ś. p. Zawistowskiego, Pawłowicza i Wroczyńskiego. Groby to ludzi młodych, silnych, pracujących do ostatniego niemal tchnienia i zmarłych na choroby zakaźne, powinny być wyrzutem dla sfer, od których zależną jest poprawa naszych warunków higienicznych, powinny być wyrzutem dla społeczeństwa.

Ono wobec śmierci młodego lekarza, który stał się ofiarą tyfusu, wobec zawiedzionych nadziei, wobec materialnej nieraz klęski rodziny, trochę pokwili, wypowie parę szumnych frazesów na temat poświęcenia się, spełniania obowiązku i rychło przejdzie do porządku dziennego. Umarł lekarz – będzie inny na jego miejsce.

Istotnie pomiędzy zawodami tzw. wyzwolonymi, stan lekarski daje największą śmiertelność w wieku względnie młodym – tyczy się to osobiwie lekarzy zamieszkałych po miasteczkach.

Jeżeliby dziś młody lekarz zwrócił się do mnie, prosząc o radę, czy ma osiąść na małej prowincji, to bym powiedział:

Gdy chcesz osiąść w miasteczku, młody kolego, to wiedz o tym, że pod względem lekarskim musisz być dobrze przygotowanym. Każdy popełniony przez ciebie błąd w rozpoznaniu i rokowaniu dotkliwie na tobie się zemści.

Wiedz o tym, że będziesz wiecznym pogotowiem ratunkowym, że nie będziesz miał swojego czasu, którym byś mógł dowolnie rozporządzać. Dźwięk dzwonka od drzwi twoich wchodowych będzie ci ciągle dźwięczał w uszach, a nocą często będziesz się budził z bijącym sercem i nasłuchiwał, czy to rzeczywisty dźwięk dzwonka, czy halucynacja.

Miłość twoja własna często ucierpi: koledzy z dużego miasta po większej części będą cię traktowali wyniośle; wielu pacjentów będzie boleć nad tym, że muszą mieszkać w zapadłym kącie, gdzie ich drogocenne zdrowie nie może być pod opieką wielkomiejskiego specjalisty; wieśniak, przybywając do ciebie, nieraz na wstępie zaznaczy, że już udawał się do „doktorów”, którzy mu już stawiali i bańki, i pijawki, i nacierali, i zamawiali, i wręcz zapyta, czy „dasz rady” jego chorobie? Jeżeli powątpiewasz o swej mocy lekarskiej, to mów od razu, chory w taki razie uda się do znakomitego „wróża” do Hołubli, lub do wszechwiedzącego „znachora” z Gutów, który nie potrzebuje nawet widzieć chorego, a tylko spojrzy na jego urynek i nie tylko pozna, jaka to choroba, jak dawno trwa i czy da się uleczyć, ale nawet wskaże osobę, która chorobę „zadala”.

⁵ 1 mila to wówczas prawie 7,5 km [przyp. aut. opracowania].

Bądź dalej przygotowanym na to, że $\frac{3}{4}$ twoich chorych będą to ludzie brudni i ciemni, że systematycznie ich leczyć nie będziesz, że co dzień będą cię indagowali, czy ich męczy „kołtun”, „macica”, czy też cierpią z „poruszenia”.

Bądź następnie przygotowanym na to, że zarobisz niewiele, a praca twoja często wyzyskaną będzie, a nawet posądzą cię o grubą interesowność. Wieśniak będzie się targował z tobą o każdą złotówkę, nie może mu się bowiem w głowie pomieścić, że gdy on przez cały skwarny dzień, gnąc grzbiet przy żniwie, kosie lub kopaniu otrzymuje za to 2 złote⁶, to ty za krótką konferencję i napisanie „receptika”, żądasz aż 30 lub 50 kopiejek! Ubogi Żyd w każdym wypadku będzie się starał cię wyzyskać i w tym razie przebiegłość będzie szła o lepsze z niesumiennością. Dziedzic dużych włości nie raz będzie się starał wyzyskać i zwalić na siebie obowiązek opieki nad jego ubogim parobkiem, a gdy zażądaś odpowiedniego wynagrodzenia, da ci uczuć, że jesteś interesownym, że jesteś „bez powołania”. Gdy osiędziesz młodego kolego w miasteczku, to wiedz o tym, że vis a vis cię znajdziesz felczerka Żydka, który wszelkimi siłami będzie się starał poderwać twoją powagę.

Mógłbym długo, kochany kolego na ten temat mówić i fakty przytaczać, ale mówisz, że masz matkę staruszkę i młodsze rodzeństwo, którym chcesz się zaopiekować i od razu musisz mieć byt, choćby skromny, a przy tym kochasz wieś i lud – więc osiądź w miasteczku, pozwól jednak uczynić ci jeszcze jedną uwagę. Gdy spotkasz na drodze swojego życia inteligentną, miłą, ale ubogą panią i postanowicie połączyć się węzłem małżeńskim, to żeń się kolego, ale zawczasu kup dla swej żony, chociażby na splatę maszynę do robienia pończoch. pamiętaj bowiem o tym, że masa wiejskich lekarzy ginie od tyfusu, z którym będziesz spotykał [się] często i który będzie wyzierał i czyhał na cię z brudnych pierzyn ubogich Żydów małomiasteczkowych. Niech twa żona zawczasu nauczy się przypinać kwiatki do strojnych kapeluszy, niech nie zapomina gam fortepianowych, niech umie władać maszyną pończoszniczą... te umiejętności mogą jej się z czasem przydać!

Niewesoły obraz życia lekarza małomiasteczkowego narysowałem przed tobą, młody kolego. Pamiętaj jednak o tym, że dziś na świecie źle jest w ogóle, że wielu ludzi z zazdrością będzie spoglądało na twoją pozycję i że wielu ludziom gorzej się dzieje niż lekarzowi prowincjonalnemu.

By zmniejszyć przykre wrażenie, powiem ci kolego, że nie z samych ciemnych stron będzie się składało twoje życie publiczne – będą tu i jasne momenty.

Tuż zaraz za domem twoim rozpoczyna się obszar pól, łąk i lasów. Możesz dowolnie kąpać się w słońcu i orzeźwiająjącym powietrzu.

W drodze do chorego będziesz miał przyjemną pogawędkę z woźnicą o chłopskiej doli i niedoli i skrupulatnie będzie się on wypytywał, „co stoi na gazetach”, a uważnie słuchał i uwagi trafne czynił o tym, co się dzieje na szerokim świecie.

Po drodze spotkasz uznojone twarze, życzliwie się witające słowem: „Pochwalony”.

Uszu twych nie będzie raził jednostajny turkot dorożek i przeraźliwe dźwięki dzwonek tramwajowych. Usłyszysz natomiast miły świergot skowronka, klekot bociana, harmonijne brzęczenie owadów i poważny poszum lasów.

⁶ Po reformie z 1841 r., 1 złoty równy był 15 kopiejkom, czyli 10 zł to 1,5 rubla [przyp. aut. opracowania].

I im dłużej będziesz obcował i przyglądał się przyrodzie, tym częściej będziesz zapominał o tym, że jesteś posiadaczem dyplomu uniwersyteckiego, tym częściej będziesz się czuł w roli żuczka, który wspina się po żdźble trawy, a który nie mniej od ciebie pracuje dla wielkich i niepojętych celów Wszecznego, będziesz się porównywał do pracowitej mrówki, która trzyma się nie tyle dla siebie, ile dla mrówczego społeczeństwa.

Wieśniak, w stosunku do ciebie będzie w ogóle nieufny jak dziecko, gdy zaś zrozumie, że jesteś mu przyjacielem, wyciągnie do ciebie z zaufaniem ręce, otoczy szacunkiem i wdzięcznością.

Chociaż owa wdzięczność często będzie się objawiała w pobożnych westchnieniach i modłach zasłanych do stóp ołtarza na twoją intencję – o twoje zdrowie i pomyślność, będzie się objawiała w skromnych datkach w postaci kilku jaj, garnuszka miodu lub osetki masła, to jednak oznaki wdzięczności będą ci niewypowiedziane miłe, jako wyraz nieskomplikowanych wdzięcznych uczuć prostaczych.

A gdy po całodziennym pracy, powróciwszy do domu, porachujesz nie tylko złotówki, któreś zarobił, ale i dobre czyny, jakieś spełnił, to będziesz miał poczucie zadowolenia, jakie się ma po uczciwym spełnieniu obowiązku.

Obraz życia lekarza prowincjonalnego, jaki Szanownym Panom skreśliłem, jest może zbyt jaskrawym, ale przyznajcie, że prawdziwym, gdyż sami niejedno obserwowaliście i niejedno sami odczuliście.

Trudne warunki lekarza wiejskiego wypływają z tego, że kraj nasz jest ubogim i ciemnym, wypływają z warunków ogólnych, których zmienić sami nie jesteśmy w możności.

Od nas jednak zależy do pewnego stopnia ułatwić życie lekarzom prowincjonalnym i uważam to za sprawę pilną, za sprawę, o którą upomina się wielu kolegów i którą nasze Towarzystwo zająć się powinno.

Dla osiągnięcia poprawy bytu lekarza prowincjonalnego potrzeba:

1. Podniesienia naszego poziomu naukowego.
2. Uregulowania naszych stosunków koleżeńskich i stworzenia jednej rodziny lekarskiej, której pojedynczy członkowie odnosiliby się z ufnością i braterską życzliwością. Drobnym nieporozumieniom i gry małych ambicji pomiędzy nami być nie powinno.
3. Powinniśmy ustanowić sąd koleżeński.
4. Powinniśmy się zająć sprawą lecznictwa ludowego i sprawą partactwa lekarskiego.
5. Powinniśmy się zająć sprawą honorariów lekarskich.
6. Powinniśmy współdziałać w tworzeniu kas samopomocy, np. kas pogrzebowych lub wzajemnie-ubezpieczeniowych.

Punkty powyższe dają pod rozważenie Szanownych Panów w tej nadziei, że z debat i zdań wypowiedzianych wyłoni się rzecz potrzebna i pożyteczna.

* Przeciętą cyfrą dla naszego kraju.

** W Sokołowie: ś. p. Dziobkowski, lat 48 – *typhus*; ś. p. Zawistowski, lat 38 – *typhus*. W Ciechanowcu: ś. p. Święcki, lat 48 – *typhus*; ś. p. Falkiewicz, lat 31 – *tubercul. miliar.*; ś. p. Tymiński, lat 25 – *typhus* (5 tygodni praktyki). W Brańsku: ś. p. Taraszkiewicz, lat 46 – *lyssa*; ś. p. Rosjanin, młody (?) – *typhus*. W Czyżewie ś. p. Roszkowski, starzec – *pneum. croup*. W Węgrowie ś. p. Wyszomirski, starzec – *pneum. croup*.

Z WŁÓCZĘGI POWSINOZI (c. d.)

Tak gwarząc i radząc nad przyszłą Nową Polską Ludową koleż. Polakówna przeczytała nam jeden ze swych utworów, bardzo długi i tak żalony, i za serce chwytający, że Krętołek mimo woli łyż ocierał, co widząc, ja to samo uczyniłem. Ale ponieważ daliśmy słowo, że nikomu o tym nie powiemy, przeto niech to będzie przy nas...

Aniśmy się spostrzegli, że doszliśmy do jakiejś wsi. To jest Paproć-Mała objaśnia nam koleż. Stasia – też kolonia niemiecka – wszyscy oni na początku wojny światowej zostali wywiezieni za Wołgę w głąb Rosji, gdyż Rosjanie obawiali się, by wojska niemieckie nie miały z nich materiału agitacyjnego i szpiegowskiego.

Tutaj też pożegnawszy się już z wielkim, prawdziwym żalem i serdecznością z koleż. Polakówną, wsiedliśmy na rowery i hajda dalej przez wieś oglądając się, aż koleż. Stasia znikła gdzieś hen na zakręcie drogi idącej do z dala widocznej jak na dłoni Srebrnej. Jeszcze jak żyję, nie widziałem takiej kobiety, brachu, mówi Krętołek – Ona nie wie, czy żyje dla siebie, czy dla ludu i Polski – tutaj obejrzał się, bo w jednym ze ślicznych sadów, które posiadają tutejsi koloniści niemieccy, prawie każdy, a których jakby podszycie stanowią przepiękne kwiaty w chłopa rosnące – między klombami jeździł sobie w przypołudnie jakiś kolonista na rowerze, bacznie nas obserwując. Gdyby tak u nas kto z poletnich gospodarzy jeździł między kwiatami tak na rowerze, na pewno by ludzie powiedzieli, że brak mu piątej klepki – gadam do Krętołka, ale on coś tylko odburknął.



Bundesarchiv, Bild 137-058149
Foto: Spahn, B. | Mai 1940

Niemcy z terenów Rzeczypospolitej zajętych w roku 1939 przez Sowieców zmierzający autobusem, aby objąć gospodarstwa po Polakach wypędzonych z utworzonego przez Niemców Kraju Warty (niem. *Reichsgau Wartheland*).

Źródło: Das Bundesarchiv, Bild 137-058149.

Jedno cośmy jeszcze zdążyli zauważyć w szybkiej dość jeździe, to ładne zagrody, wzorowe kolonie i ogólny porządek u Niemców, a co nam się wydało oryginalnym, to znów to, iż wszyscy Niemcy tutejsi nie noszą innych czapek jak tylko maciejówki. Zapytany przez nas o to, jeden odparł z flegmą: „Ja psiakrew polski Prusak, to i polska czapka...”.

Jużeśmy kawałek czasu jechali, a ja myślałem, że tej wsi nie będzie końca, ażem się obejrzał na jakiś gmach z szyldem przy drodze stojący i czytam: „Spółdzielnia Mleczarska »Społem« w Pęczratce z odpowiedzialnością ograniczoną”. Oczom swym nie wierzę, chociaż jak wół stoi napisane i czekam na Krętołka, który tym razem się „umachał” i został w tyle. Niedługo też i on nadjechał i zsiadł, niby poprawiając kwiaty u roweru, od koleż. Polakówny z konkursowego ogródka... i rozdziawiwszy gębę od ucha do ucha, czyta. Później jakiś wzruszony mówi: „Wiesz brachu co, tu ma dzisiaj być minister!”.

A minę to miał przy tym taką, jak nie przymierzając moja konkursowa kurka, jak lisa zobaczyła.

O Pęczratce nie będziemy Wam wcale opowiadać, jest ona tak znana, tak sławna, jak żadna inna wieś w powiecie, ani w województwie naszym nawet, a jeszcze teraz, jak podobno w zeszłym roku był u nich i pan wojewoda, i pan starosta, a teraz był sam pan minister, to oni są takie dumne, że aż strach.

Co tam nam minister – mówi siedemdziesięcioletni już p. Kaliszewski – z samym panem Prezydentem Rzeczypospolitej w dożynki, dwa lata temu gadałem – to mówiąc, wasy mu wzięły drzeć z dumy jak u suma. Muszę Wam dodać, iż p. Kaliszewskiego znaleźmy już dawno, szczególnie Krętołek, który nie wiem z jakiej racji – wujem go tytułował. Jak się później dowiedziałem, dlatego że byli kiedyś obaj razem na dożynkach i pod jednym płaszczem w Spale spali.

Zaraz też zaszliśmy do kolegów Nowaków, chłopów czarnych, na schwał, widać bywalce wielkie. W mieszkaniu godnie i honornie „po gospodarsku”, na podwórzu narzędzia rolnicze jak się patrzy, gnojownia zagrabiona, jednym słowem zagroda cała bez zarzutu. Krętołek załatwił z jednym Nowakiem jakąś dożynekową sprawę, tytułując go kolego skarbniku (jak się dowiedziałem, jest on skarbnikiem okręgowym Związku Młodzieży) – po czym wypiwszy sobie smacznego świeżego mleka, ruszamy dalej, do samego prezesa Koła w Pęczratce kol. Podedwornego Edwarda, co to sierżantem był w wojnę, a teraz biedaczysko ożeniło się i gazduje. Podedwornego znałem i ja z opowiadania nie tylko Krętołka, ale i innych – to też strasznie chciałem go zobaczyć. Zaszliśmy więc do jego białego, pociągającego urokiem domku, przy którym rosły jego konkursowe buraki i jego sympatycznej siostrzyczki kartofle, i tam znowu powtarza się Srebrna.

Trzeba jeść. Ano jak trzeba to mus – bo Krętołkowi coś w łeb trzasło i chce na gwałt uciekać do domu – mimo to, że już wszyscy mówią, że minister przyjedzie najdalej za dwie godziny. A tu brama już gotowa, pięknie zbożem przystrojona i kwiatami polnymi, a zielenią umajona. Ale jak zobaczył jeszcze jedną koleżankę ze ślicznymi chabrowymi oczyma, to go tak biednego widać rozebrało, że i o domu zapomniał...

Wtrąciwszy co Bóg i dobrzy ludziska dali, idziemy razem z wystrojonymi odświętnie i galowo strażakami ku bramie, przy której mamy spotkać ministra. Zastajemy już niemal całą wieś, która wyległa jak jeden mąż i delegacje wszystkich organizacji we wsi będących, a więc: Straż

Ogniowa, Koło Młodzieży i Kółko Rolnicze w komplecie, delegacje Stowarzyszenia Spożywców Mleczarni i Kasy Stefczyka.

Nie chcąc być natrętami i żeby nas przypadkiem nie rozjechano, włączymy za płot i czekamy, aż tu naraz jak do Krętołka nie podskoczy ci jakaś dziewucha, zwinna jucha a ładna, a zgrabna kiej sarenka i rękę mu podaje, mówiąc: Jak się macie kolego! Co słyszeć! Krętołek aż pokraśniał z zadowolenia, przedstawił i mnie. Wymieniwszy swe chłopskie „Powsinoga”, usłyszałem: „Wardaszkówna jestem z Pęchratki” – czy pan należy do Koła? Naturalnie, że powiedziałem – tak. No to dobrze, powiada, ale oto już i jadą! Krzyknęła, wyglądając hen na drogę, co rowami okopana i żwirem osypana idzie aż do szosy. W kilka też chwil przyjechało kilka samochodów, a z nich wysypało się jak z worka kilkunastu panów.

C. d. n.

[„Przegląd Łomżyński”, nr 32 z 28 września 1930 r.]

Z gminy Lubotyń. W numerze 13 „Przeglądu Łomżyńskiego” mowa jest o gospodarce powiatowej, a raczej o budowie szkół powszechnych w Drozdowie i Szumowie. Dziwną jest rzeczą, że gmina Lubotyń traktowana jest po macoszemu, a to z tego względu, że gmina Lubotyń, prawie że nie posiada ani jednego budynku szkolnego, a tylko jest jedna stara buda, której połowa jest w ziemi, tak, że część oddziałów mieści się w wynajętych lokalach i to ciasnych, gdzie dziatwa nie może się pomieścić. Nauczycielstwo w roku ubiegłym uczyło na zmianę, co też wypadnie i w tym roku. Czy nie należałoby pomyśleć o budowie szkoły w gminie Lubotyń, a wstrzymać budowę w tych gminach, gdzie jest po kilka budynków szkolnych?

Uważam, że gmina Lubotyń jest również tym samym dzieckiem, a panowie członkowie Wydziału Powiatowego powinni się troszczyć nie tylko o gminy, z których pochodzą, ale i o inne, w których jest konieczna budowa.

A. Paszynin,
członek rady gminy.

[„Przegląd Łomżyński”, nr 26 z 25 czerwca 1933 r.]

Z Ostrowi Maz. Na szosie Ostrów-Wyszków 3 km od Ostrowi, w czasie mijania samochodu nr 22486, jadącego z Warszawy do Białegostoku i należącego do pośła niemieckiego v. Moletke`go, zam. w Warszawie, prowadzonego przez szofera Fryderyka Millera, spłoszył się koń Bronisława Pyśka, mieszk. wsi Osuchowa Nowa, gm. Poręba, pow. ostrowskiego i wpadł na samochód, łamiąc przednią lewą nogę. Szofer, chcąc uniknąć wypadku, skręcił raptownie w bok i wjechał w rów, skutkiem czego uszkodził w samochodzie przedni resor i błotnik, rozbił szybę i częściowo uszkodził chłodnicę, sam zaś z powodu rozbicia szyby doznał skaleczenia ręki. Samochód odprowadzony został do garażu Spiechowskiego w Ostrowi, celem dokonania naprawy, poczem udał się w dalszą podróż do Białegostoku.